

# BŁAWATEK

Magdalena Buraczewska-Świątek



*Wiedziała  
wszystko  
o kojarzeniu  
par. Ale jej  
własne serce  
nie zamierzało  
się stosować  
do reguł.*



AXIS MUNDI  
WYDAWNICTWO

MAGDALENA BURACZEWSKA-ŚWIĄTEK

# BŁAWATEK





## ROZDZIAŁ 1

— **S**potkaliśmy się tu dziś w przykrych okolicznościach, by pożegnać naszego brata Charles’a Henry’ego Napoléona de Foy. Jego śmierć pozostawi ogromną pustkę w naszych sercach, będzie go brakować całej społeczności – zaczął poważnym tonem sędziwy ksiądz, spoglądając na zgromadzonych spod okrągłych okularów w metalowej oprawie.

Jego głos mieszał się z kobiecymi szlochami i zawodzeniem. Ciężkie, drewniane ławy katedralne wypełniali tłumnie elegancko ubrani ludzie. Niektórzy dyskretnie ocierali łzy, inni starali się po prostu wyglądać dostojnie, jakby w takiej chwili miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Charles był nie tylko znanym przedsiębiorcą, ale również serdecznym przyjacielem i oddanym członkiem naszej społeczności – kontynuował. – Jego pasja do zdobywania wiedzy, oddanie rodzinie i troska o innych jeszcze długo będą przez nas wspominane. Choć odszedł od nas fizycznie, po ludzku, jego dziedzictwo i pamięć po nim pozostaną z nami na zawsze. Wierzmy wszak, że już teraz zaczął szczęśliwie wieść życie wieczne, a my również kiedyś będziemy mogli wspólnie się nim radować.

Ksiądz nie przerywał kazania. Co jakiś czas kierował wzrok ku strzelistemu sklepieniu katedry, które sprawiało wrażenie nieskończonej przestrzeni. W świątyni panowała atmosfera smutku i zadumy, bardziej jednak nad kruchością ludzkiego życia i nieodwracalnością śmierci niż nad brakiem Charles'a de Foy wśród żywych. Żałobnicy wsłuchiwali się w każde słowo kaznodziei, szukając w nich pocieszenia dla swoich smutnych serc.

– Charlotte, przestań! – Dojrzała kobieta z twarzą zakrytą czarnym woalem upomniała po cichu młodą dziewczynę, szturchając ją łokciem.

Charlotte nie znosiła takich ceremonii, choć matka zawsze jej powtarzała, że nikt nie chodzi na nie dla przyjemności, ale trzeba w nich uczestniczyć i kropka. Rozglądała się teraz po wnętrzu świątyni, podziwiając stare witraże w gigantycznie wysokich oknach. Każdy z nich opowiadał inną historię biblijną, a ona próbowała je wszystkie odgadnąć, co widać nie spodobało się czcigodnej matce, bo kto to widział, żeby dwudziestojednoletnia panna traktowała kościół jak jakąś galerię sztuki, zamiast głęboko przeżywać pogrzeb własnego dziadka.

Charlotte bardzo go kochała. On jeden spełniał jej kaprysy, gdy była dzieckiem, i zawsze powtarzał, że jeszcze zdąży posmakować prawdziwego życia. – Dajcie jej spokój. Niech się bawi – mawiał, gdy proszono, by pomogła gosposi nakrywać do stołu, i jako jedyny nigdy nie podniósł na nią głosu. Dożył osiemdziesięciu sześciu lat – może dlatego tak niewiele osób płakało na wieść o jego śmierci. Istnieje przecież powszechne przekonanie, że jeśli umiera ktoś mocno posunięty w latach, już tak bardzo go nie żal, bo już się swoje nażył.

Charlotte podziwiała u dziadka całe mnóstwo cech – stoicki spokój, pewność, która sprawiała, że nawet gdyby się waliło i paliło, a on

powiedziałyby: spokojnie, to zaraz minie, uwierzyłoby się w to i wszystkie inne jego zapewnienia.

Tylko jedna rzecz sprawiała, że bardzo tracił w oczach wnuczki, i właśnie teraz, kiedy kondukt żałobny zmierzał spod katedry w kierunku cmentarza, z niechęcią na nią patrzyła. Mijali ją pod adresem rue Bergère 17 w bogatej Dzielnicy Łacińskiej Paryża. Wysoka wielopiętrowa kamienica mieściła na parterze dochodowy biznes dziadka. Nad błękitnymi drewnianymi drzwiami wisiał duży metalowy szyld, a na jego białym tle widniał wyraźny napis w chabrowym kolorze – BŁAWATEK. Nie można go było nie zauważyć. Uroczą nazwą! Na pewno budząca same przyjemne skojarzenia, z takich, co to bardzo podobają się paryskim przechodniom. Jednak nie Charlotte.

Babka Thérèse opowiadała jej, jak którejś bezsennej nocy siedzieli z dziadkiem przy herbacie i próbowali wymyślić nazwę dla swojego nowego interesu. Chcieli, żeby było zwiewnie, romantycznie, delikatnie, ale z charakterem. Nieopodal ich domu mieścił się maleńki sklep bławatny, w którym Thérèse kupowała tkaniny pościelowe. Najbardziej chwaliła sobie bławat\*, bo mimo że popularny, kiedyś nie wszystkich było na niego stać. Podobała się jej ta nazwa, a stojące w małym kryształowym wazonie bławatki, które garściami zносиła do domu jej dwuletnia córka Lucille, przywodziły na myśl jeszcze piękniejsze skojarzenia. Dziadek Charlotte wypożyczył nawet z Biblioteki Narodowej w Paryżu pięknie ilustrowaną książkę *Les fleurs animées\*\**. Thérèse wyczytała w niej, że według mowy kwiatów bławatki oznaczają wierność i dobroć, podarować je komuś to życzyć mu szczęścia i pomyślności, a kiedy dziewczyna podczas pracy w polu znajdzie dużo bławatków, czeka ją rychły ślub. Była zachwycona!

To właśnie dzięki książce Grandville'a tamtej nocy zdecydowali z dużą pewnością siebie, jak będzie nazywać się ich firma. Bławatek to nazwa

## wprost idealna dla biura matrymonialnego!

---

\* Bławat – dawna, kosztowna tkanina jedwabna, zwykle koloru błękitnego, charakteryzująca się miękką i lekką strukturą. Z czasem bławatem zaczęto nazywać każdą jedwabną tkaninę. Materiał ten był powszechnie wykorzystywany do różnych celów – na wyroby pościelowe, chustki czy odzież.

\*\* *Les fleurs animées* – książka autorstwa J.J. Grandville’a, wydana w 1847 roku, uważana za znaczące dzieło w sztuce francuskich książek ilustrowanych. Jest owocem pracy pisarza, botanika i artysty wizualnego – Grandville’a. Poświęcona została botanice i ogrodnictwu, ze szczególnym uwzględnieniem kwiatów. W każdym rozdziale przedstawiona została charakterystyka danego kwiatu, a także związana z nim opowieść oparta na mitologii i folklorze. Autor książki twierdził, że kwiaty są wyrazem społeczeństwa.

## ROZDZIAŁ 2

Charlotte wciąż nie mogła zrozumieć, co kierowało jej zawsze rozsądnym dziadkiem, gdy wpadł na pomysł otwarcia takiego interesu. Czasy i tak były trudne, najeżone sztywnymi konwenansami. Dziewczyna buntowała się przeciwko każdemu z nich, odkąd tylko zaczęła samodzielnie myśleć i dostrzegła niedorzeczność w tym, że to inni decydują o cudzym losie, aranżując małżeństwa, planując miłość, dobierając w pary pasujących do siebie według nich ludzi. Zawsze jednak chodziło o majątek, uznanie i pozycję społeczną – i to obu stron: klienta zadowolonego z matrymonium i właściciela biura o coraz lepszej renomie.

Charlotte wywodziła się z rodziny bogatych paryskich mieszczan, którzy na swój dobrobyt pracowali z powodzeniem... prowadząc właśnie takie biuro. Tyle że ostatnio rodzinny majątek topniał, do czego wydatnie przyczynił się hulaszczy tryb życia jej starszego brata Philippe'a. Ale młoda kobieta uważała, że biuro matrymonialne to instytucja naruszająca wolność kobiet i tych, którzy mieli nieszczęście zakochać się w kimś, kto nie spełnia oczekiwań rodziny. Ta w podobnych wypadkach szukała ratunku w Bławatku i podobnych mu miejscach, a dla nieszczęśnika (nieszczęśnicy) utrapieniem stawała się myśl, że oto będzie musiał (musiała) poślubić



osobę, której zwyczajnie nie kocha. Tym bardziej że często wszystko odbywało się zupełnie znienacka, a biuro matrymonialne tylko na tym zyskiwało.

Do tego wszystkiego – przekonania Charlotte i jej umiłowania osobistej wolności i prawa do miłości – Charles Henry Napoléon de Foy był człowiekiem szanowanym i to nie tylko w Paryżu, a Bławatek cieszył się renomą i wystarczyła chwila rozmowy w bogato urządzonej gabinecie dziadka, by klienci darzyli go pełnym zaufaniem. Charlotte nie mieściło się w głowie, że człowieka się szanuje, a zarazem akceptuje jego dwuznaczną działalność, bo na terenie Paryża istniało co najmniej kilka podobnych biur, a wielu paryżan sparzyło się na tego typu usługach. Ale przede wszystkim małżeństwo nadal uważano za święty związek, dlatego aranżowanie go za pieniądze traktowano jako podejrzany interes. Owszem, tolerowano biura nieruchomości, podróży, notarialne, zajmujące się odzyskiwaniem długów, ale pośredniczące w miłości?! To się nie godziło. I oczywiście wiele osób, które zdecydowały się na skorzystanie z podobnych usług, zostało w podły sposób oszukanych. Omamieni obietnicami właściciela, że ma w swoich ofertach „piękne, mądre, zamożne panny gotowe na ślub”, a wszystko odbędzie się „w absolutnej dyskrecji i z zadowalającym wynikiem”, wpłacali duże pieniądze, po czym następowało wielkie rozczarowanie, bo panna nie była ani piękna, ani mądra, ani zamożna, ba – wcale jej nie było! Wielu jednak, zwłaszcza majątnych mężczyzn dobiegających czterdziestu lat, wciąż było łasych na takie *kąski* i reklamy agencji w rubrykach ogłoszeniowych różnych paryskich gazet. Nie powinno więc wcale dziwić, że zaczęło się pojawiać coraz więcej opinii, iż biura matrymonialne grabią i oszukują ludzi, żerując na ich łatwowierności i naiwnej pewności, że płacąc, kupią sobie bogatą, piękną, mądrą i wywodzącą się z dobrego domu

drugą połowę. Zamiast szczęśliwych par w tych przybytkach zdecydowanie częściej można było spotkać skrzywdzone kobiety i łowców posagów.

Charlotte nie mieściło się w głowie także i to, że można w tak bezduszny sposób kupczyć ludźmi, ich losem i uczuciami. Sama nigdy, przenigdy nie zdecydowałaby się na taki akt desperacji, nawet gdyby miała zostać starą panną i samotnie iść przez życie. Zapowiedziała bliskim, zwłaszcza ojcu, matce i babce, że nie chce, by ją swatano, a jeśli to zrobią, ucieknie z domu. Wszyscy, którzy ją znali, dobrze wiedzieli, że jest do tego zdolna, dlatego w jej obecności o kawalerach – owszem – mówiono, ale dyskretnie i mimochodem.

Słowem, Charlotte całym sercem, duszą i rozumem sprzeciwiała się matrymonialnej działalności dziadka! Na nic zdały się tłumaczenia pana Charles'a, mające swoje potwierdzenie w rzeczywistości i opiniach innych, że Bławatek – jako jego autorski i zupełnie nowy pomysł na kojarzenie par – działa bez zarzutu i przynosi ludziom szczęście. Tu nie dało się nikogo oszukać, bo wynagrodzenie (najczęściej kilka procent z posagu) pobierano dopiero, kiedy małżeństwo doszło do skutku. Wcześniej delegacja biura uczestniczyła w ślubie i wręczała młodej parze wielki bukiet bławatków, życząc szczęścia i wszelkiej pomyślności. Takie właśnie chwile i krążąca wśród paryżan opinia sprawiały, że ludzie nie obawiali się umieszczać danych swoich bliskich w jego kartotekach i z pełnym zaufaniem korzystali z fachowych usług.

– Dziadku, po co właściwie otworzyłeś Bławatka? – pytała Charlotte.

– Pytasz tak, jakbyś nie wiedziała, kochana – odpowiadał ze stoickim spokojem. – Wierzę, że jest ludziom potrzebny. Czy wiesz, ile okoliczności musi się złożyć na to, by powstała szczęśliwa para? – podchwytliwie odpowiadał pytaniem, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Charlotte dobrze wie, iż to bardzo trudne. – Trzeba dobrać odpowiednie osoby,

przyjrzeć się ich rodzinom, one też mają swoje oczekiwania, wyczuć odpowiedni moment i nastrój młodych ludzi, umiejętnie pokierować sytuacją. Ja po prostu organizuję szczęśliwe zbiegi okoliczności! Wielu bogatych kawalerów nie potrafi dostrzec w swoim otoczeniu kobiet wartych uwagi – tłumaczył. – A ja im je wskazuję.

Dla Charlotte jedynym usprawiedliwieniem dla działalności dziadka było jednak to, że on rzeczywiście chciał pomagać ludziom i nigdy nie użył sformułowania, które często padało z ust madame de Saint-Just – właścicielki Instytutu Małżeńskiego Francji – że chce, aby dzięki niej „zrodziła się nowa, silna i zdrowa rasa, w której cnoty domowe zjednoczą się z rycerskimi”. Za cel postawiła sobie łączyć najlepsze rody szlacheckie z burżuazją. Charlotte dobrze wiedziała, że dziadek nie mówi jej całej prawdy, wszak Bławatek powstał w dokładnie takim samym celu, po prostu takie właśnie były pragnienia ludzi i ich wyobrażenia o małżeńskim szczęściu.

\* \* \*

– I co teraz będzie z Bławatką?... – rzuciła nieco zaczepnie Lucille, matka Charlotte, podczas rodzinnej kolacji, spoglądając w kierunku córki w złudnej nadziei, że ta podejmie temat. Ona tymczasem celowo zignorowała pytanie. – Marie Caron nie dalej jak wczoraj pytała mnie, kiedy zamierzamy wznowić działanie biura, bo chciałyby zająć się szukaniem kawalera dla swojej najmłodszej pociechy – dodała z dumą. – Dacie wiarę, że Antoinette ma już dziewiętnaście lat? Jak ten czas szybko leci! Jeszcze nie tak dawno razem z Charlotte woziły umorusane lalki w wózkach – dodała głosem pełnym tęsknoty za tak niedawną przeszłością.

Salon, w którym spożywali kolację, był urządzone klasycznie i elegancko, odzwierciedlając majętność rodu. Na ścianach wisiały dzieła

wybitnych artystów w złotych ramach, a dębowe podłogi pokryte były perskimi dywanami. W dużych oknach, które za dnia otwierały się na malownicze widoki Paryża, wisały muślinowe firanki i miękkie zasłony w musztardowym kolorze. Wnętrze było przestronne, a wysoki sufit zdobiły bogate sztukaterie. Misterne, fantazyjnie powyginane kinkiety rozświetlały pomieszczenie delikatnym blaskiem, dodając mu ciepła i przytulności. W głębi salonu stał duży stół otoczony krzesłami i przykryty białym obrusem, haftowanym ręcznie złotymi nićmi. Zastawiony był porcelaną i srebrnymi sztućcami, a w jego centralnym punkcie znalazł się wazon z bukietem świeżych kwiatów.

– Ciekawe, czy Antoinette wie o pomysle swojej matki... – zaciekawiała się Charlotte.

– A czemuż by miała nie wiedzieć? – zdziwił się Gaston, ojciec przeciwniczki biur matrymonialnych.

– A chociażby dlatego, drogi tato, że to wcale nie jest informacja, którą należy się chwalić wszem i wobec – odparła zadziornie.

– Charlotte, zapominasz, że nie każdy ma do tego taki stosunek jak ty – kontynuował ojciec. – Powiem nawet więcej, większość ludzi, których znam, nie widzi w tym nic złego i uważa, że to doskonały sposób, by połączyć ze sobą wartościowych ludzi – dodał dobitnie i spojrzał wymownie na córkę, która w odpowiedzi przewróciła tylko oczami.

– Oj tak, o porządnych ludzi coraz trudniej – skwitowała zamyślona pani Thérèse i zwróciła się do wnuczki z nadzieją: – Charlotte, bardzo liczę na to, że zajmiesz się Bławatką.

Dziewczyna spojrzała na nią, a potem jeszcze na matkę. Powstrzymała się od odpowiedzi, bo nie chciała ani sobie, ani innym psuć rodzinnej kolacji. Zamiast tego skoncentrowała się na swoim talerzu. Ojciec tylko patrzył na nią w oczekiwaniu.

– Charlotte! – rozległ się podniesiony głos Lucille. – Babcia coś do ciebie mówi! Nie odpowiesz? – Była poirytowana, bo odbierała podobne zachowania córki jako brak szacunku. Nie miała zamiaru chować głowy w piasek i pobłażać Charlotte jak jej szanowny mążnek Gaston, który w tej chwili spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, zdającym się mówić: proszę, tylko nie teraz, daj spokój, Lucille.

– Czemu to właśnie ja mam się zająć biurem? Przecież są jeszcze Philippe i Céleste! – Charlotte była oburzona i zamierzała się bronić przed taką niesprawiedliwością. Miała dość ciągłego dźwigania na swoich barkach całego ciężaru odpowiedzialności za biuro, czego najwyraźniej oczekiwała cała rodzina. I to od niej – przeciwniczki kojarzenia związków!

– Nie udawaj, że nie rozumiesz, Charlotte – odparła Lucille, prostując się na krześle. – Bławatek to nie tylko biznes, to nasze dziedzictwo. Twój dziadek poświęcił temu całe życie, a teraz kolej na ciebie, by kontynuować jego dzieło.

Charlotte poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

– Dziedzictwo? A co z moim życiem? Czy ktoś o tym pomyślał?

– Przestań być taka egoistyczna! – syknęła matka. – Céleste jest za młoda, a Philippe...

– Philippe co? – przerwała Charlotte. – Jest za głupi? Za leniwy? Czy po prostu ma to szczęście, że jest mężczyzną i nikt od niego niczego nie wymaga?

– W tobie dziadek pokładał zawsze największe nadzieje... i kropka! – kontynuowała rozgniewana Lucille. – W tobie widział swoją następczynię i tylko ty, jako jedyna z rodzeństwa masz talent do prowadzenia tego interesu! Jestem pewna, że nie zaprzepaścisz kilkudziesięciu lat jego starań o zaufanie ludzi i markę zakładu – wyjaśniła już spokojniej.

Lucille długo wierzyła, że ojciec przekaże Bławatka jej mężowi. Gaston wprawdzie średnio się do tego nadawał, ale tak by było zgodnie ze zwyczajem. Tymczasem Charles de Foy prowadził firmę do śmierci, a jakiś czas wcześniej zaczął coraz częściej wspominać, że swoją następczynię upatruje w ukochanej wnuczce. To było bardzo nowoczesne myślenie, ale swoją postępowość udowodnił już, zakładając biuro matrymonialne. Był tylko jeden słaby punkt – Charlotte nie rozumiała jego idei i wcale nie chciała zostać właścicielką Bławatka.

– Dziadek nigdy by mnie do tego nie zmuszał! On liczył się z moim zdaniem – odparła teraz rozpaczliwie buntowniczym tonem, wyrzucając z siebie żal, że go tu teraz z nimi nie ma.

Gaston chrząknął nerwowo, wciąż unikając konfrontacji.

– Charlotte, kochanie, nikt cię do niczego nie zmusza. Po prostu... jesteś najbardziej kompetentna. Masz wykształcenie, znasz języki...

– Moja droga panno, jeśli się nie zgodzisz na prowadzenie biura i nie przejmiesz obowiązków z tym związanych, to nie masz co liczyć na jakikolwiek posag, bo wszyscy stracimy świetne źródło utrzymania – dodała chłodno, ale trzeźwo Lucille, po czym zdjęła z kolan serwetkę, odłożyła ją na bok, wstała od stołu i manifestując swoje niezadowolenie, opuściła salon.

No właśnie! W końcu o to wam chodzi, o to źródło. Wcale nie o idee dziadka, których ja w ogóle nie rozumiem. A ty, mamó, pewnie jutro będziesz narzekać na potworny ból głowy – pomyślała Charlotte i popatrzyła na nietęgą minę babki i ojca.

Była przy tym trochę niesprawiedliwa wobec matki. Lucille odziedziczyła temperament po ojcu, panu de Foy, i zawsze była w rodzinie tą, która miała najwięcej do powiedzenia. Ale nie chodziło jej ani o posag, ani o pieniądze. Naprawdę bardzo zależało jej, by uchronić Bławatka przed

sprzedają, choć to pewnie byłby najmniej wymagający ruch, żeby jak najszybciej się wzbogacić.

Tymczasem Charlotte wstydem i zażenowaniem napawała już sama myśl o tym, że miałyby przeprowadzać „poważne” transakcje z klientami zainteresowanymi ożenkiem, a tak naprawdę być zwyczajną swatką i wyszukiwać im kogoś „do pary”. Do tego czuła na sobie sporą presję i wcale nie chodziło o strach przed tym, że zostanie bez posagu. Nie była pazerna i w głębi duszy wierzyła, że matka nie byłaby zdolna do tego, by ją wydziedziczyć. Ona po prostu czuła się odpowiedzialna za interes, któremu dziadek poświęcił całe swoje życie. Naprawdę byłoby żal, gdyby Bławatek z pozycją i prestiżem, które zyskał w oczach paryżan, znalazł się w obcych rękach, niekoniecznie popierających szlachetne zamiary dziadka.

## ROZDZIAŁ 3

**Zapraszamy do zakupu pełnej wersji**



# SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Karta redakcyjna

Copyright © 2025 by Magdalena Buraczewska-Świątek

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY Marta Szelichowska

REDAKCJA Agnieszka Sabak

KOREKTA Renata Minior

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

WYDANIE I

ISBN 978-83-8394-910-9



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek